

Są pewne pervers-natury,
które literaturę biorą jako muzykę,
malarstwo tłumaczą na język literacki,
a od muzyki doznają halucynacji wzrokowych.

Pisał niegdyś z właściwą sobie złośliwością Witkacy. Czy miał rację? Czy faktycznie trzeba mieć coś pokrętnego w sobie, aby zobaczyć przyrodę w muzyce? Czy ta jedna z najważniejszych muzycznych inspiracji natura, bez której nie byłoby na przykład VI Symfonii „Pastoralnej” Beethovena czy Morza Debussy’ego jest perwersją umysłu, który musi przekładać słuch na wzrok?

W pierwszym odruchu chciałoby się powiedzieć, że absolutnie nie. Przecież wiadomo, że *Uwertura Hebrydy* Felixa Mendelssohna, która otworzy dzisiejszy koncert, jest przesiąknięta szkockim duchem – to przecież muzyczna pamiątka jednego z najbardziej szczęśliwych momentów w życiu kompozytora, gdy wraz ze swoim przyjacielem poetą Carlem Klingemannem wybrali się na wyprawę do Szkocji, krainy surowej, nadmorskiej, jakby nieokiełznanej, a tchnącej średniowiecznymi legendami tak pociągającymi młodych romantyków. I oto dochodzi do sceny jak z obrazu Williama Turnera. Młody Mendelsohn trafia do Groty Fingala, morskiej jaskini należącej do archipelagu Hebrydów Wewnętrznych. Spędza tam noc, w trakcie której wybucha sztorm. Wysokie na 16 metrów sklepienie jaskini odbija odgłosy uderzeń fal niczym sklepienie gotyckiej katedry. Zachwył i przerażenie – romantyczne opozycje, skrajności – to one działają pobudzająco na młodego twórcę, który już rok później ukończoną ma swoją nową uwerturę. Nie brakuje w niej konkretnych elementów malarstwa dźwiękowego – żałosne wycie wiatru czy szum morza są wyraźnie słyszalne. Pełnymi garściami Mendelsohn zaczerpnął z tego doświadczenia. Nie był zresztą jedyny – Grota Fingala inspirowała przecież wymienionego już malarza Williama Turnera, ale także pisarzy: Juliusza Verne’a, Williama Wordswortha, Johna Keatsa i Alfreda Tennysona. Czy te doświadczenia, które Mendelsohn przełożył na język muzyki są dla nas jasne? W zasadzie tak. Pewnie jest nam łatwiej, bo znamy

tę historię, ale wprawne ucho wiele jej elementów byłoby w stanie w muzyce rozpoznać i bez tej wiedzy. Cóż, punkt dla nas, zero dla Witkacego.

O wiele gorzej jednak pójdzie nam, jeśli weźmiemy inny przykład. Mianowicie III Symfonię a-moll „Szkocką” tego samego kompozytora, która dzisiejszy koncert zwieńczy. Inspiracją do niej była ta sama wyprawa, choć nieco inny jej moment. Oto Mendelsohn i Klingemann ostatniego dnia zwiedzają kompleks pałacowy Holyrood w Edynburgu. Na Mendelsohnie największe wrażenie robią ruiny średniowiecznego opactwa. Píše tak: „Nawa pozbawiona jest dachu, rośnie trawa i bluszcz, a przy rozbitym dziś ołtarzu koronowano Marię na Królową Szkotów. Wszystko wali się w gruzy, poprzez rozwaliny widać błękit nieba. Sądzę, że znalazłem dziś w tym miejscu początek mojej *Szkockiej symfonii*”.

Znow obrazek dla romantyka inspirujący – ruiny, człowiek i jego budowla w stanie rozkładu, konsumowana przez naturę – wiatr i deszcze roztrzaskały dach, od lat wszystko porasta bluszcz. Natura odbiera to, co do niej należy. Inspiracja bardzo silna, ale nie na tyle, aby Mendelsohn napisał swoją *Symfonię* od razu. Owszem, zaczął tworzyć, ale jednocześnie pracował nad innymi dziełami. I nie szło mu to. Powrócił do pisania *Symfonii szkockiej* dopiero dziesięć lat po pamiętnej wyprawie, gdy wspomnienia się zatarty, może nieco wyidealizowały. Powstało dzieło dojrzałe, pozbawione bezpośrednich malarskich efektów. Już nie słychać w nim szumu fal czy porywów wiatru. Gdy usłyszał je Robert Schumann, był pewien, że to symfonia włoska, bo jego zdaniem idealnie odmalowywała południowe krajobrazy. Co za pomyłka! Tym zabawniejsza, że Mendelsohn *Symfonię „Włoską”* również napisał i ma zupełnie inny klimat. Z drugiej strony przecież Schumann miał do tej rzekomej pomyłki prawo i każdy z nas ma – możemy usłyszeć w muzyce, co tylko chcemy. Ale, ale - czy więc naturę widać w muzyce? Czy komunikat zapisany w nutach był jasny? Tym razem nie. To badacze zaczęli szukać wątków szkockich w dziele po tym,

jak odkryto ten pisany z Edynburga list Mendelssohna, który Państwu zacytowałem. Punkt dla Witkacego tym razem, a dla nas nauczka, by czasem postarać się odkleić muzykę od stojących za nią anegdot i posłuchać jej z zamkniętymi oczami. Naprawdę zamkniętymi.

Zupełnie inaczej sprawa się ma z *Poematem o miłości o morzu* pióra Ernesta Chaussona. W przeciwieństwie do *Hebrydów* oraz *III Symfonii* Mendelssohna tu mamy tekst – konkretne słowa skreślone przez przyjaciela i współczesnego Chaussonowi poetę Maurice'a Bouchora. Teoretycznie więc wiemy, o czym ta muzyka jest. Wystarczy, że spojrzymy na pierwsze ogniwo – *Les fleurs des aux*, czyli „kwiat wód”. Powietrze pełne jest zapachu bzów, których zapach wnika w kobiece włosy. Blask promieni słonecznych rozlewa się po tafli morza i po piasku plaży, na której całują się kochankowie. Muzyka nie musi pokazywać nam tego wszystkiego dosłownie. Robi to tekst. Muzyka więc kieruje się w stronę emocji. Dokładnie w ten sam sposób, jak *Morze* Debussy'ego nie jest tak naprawdę o morzu, tylko o tym, co czuje ten, kto na morze patrzy i jaką ono niesie ze sobą emocję. To muzyka francuska z końca XIX wieku, która dosłowności unika jak ognia, a zamiast niej poszukuje atmosfery i uczuć. Chausson, którego twórczość rzadko się u nas pojawia, to jeden z najlepszych budowniczych muzycznego nastroju.

Jaki jest więc wynik tego naszego pojedynku z Witkacym? Myślę, że przy wszystkich zastrzeżeniach można uznać remis.

Mateusz Ciupka („Ruch Muzyczny”)